

01.10 /środa/ - wszystko, co zostanie dalej opisane - zaczyna się na Okęciu - szybko, szybko..., bo w Warszawie były korki, jak zwykle. O 11.00 odlatujemy do Moskwy, a stąd do Delhi.

02.10 /czwartek/ - W Delhi mamy "very big problem": nie mamy wizy, a musimy? odebrać bagaże, nadać bagaże i dostać bilety - siedzimy w poczekalni, a wszystko "za nas" robi obsługa lotniska, bo nam nie wolno nigdzie wyjść - ot, taka procedura! Nam zostają tylko twarde krzesła i podłoga, ale czekamy tylko 4 godziny.

Potem lecimy do Kathmandu . Pierwszy kontakt z Nepalem mam już w samolocie, bo obok mnie siedzi Nepalczyk, z którym mogę trochę pogadać. Tym razem do wyprawy mało się przygotowałam - na temat Nepalu nie wiem prawie nic. Około 9.00 jesteśmy na miejscu - to cel numer 1 naszych lotów - Kathmandu, stolica Nepalu. Tu w kolejce po wizę spotykam znajomego księdza - on też po raz pierwszy w Himalaje. Sonam z miejscowej agencji już na nas czeka, jedziemy z nim do hotelu. I "trochę" nas zatyka z wrażenia - ulice pełne ludzi, motocykli, rowerów, i między tym samochody - jedzie ten kto zatrąbi najgłośniej. Mieszkamy w centrum - w hotelu Cosmic, choć kosmiczna jest tylko nazwa. Wieczorem się integrujemy, a po północy idziemy na spacer, ale na mieście jest mało przyjemnie, więc szybko wracamy.

03.10 /piątek/ - Dzień spędzamy w Kathmandu. Mamy trochę spraw organizacyjnych, robimy zakupy w góry, kupujemy też pierwsze pamiątki. Poza marketem spożywczym wszędzie trzeba się targować - szybko uczymy się tej sztuki. Targujemy się też o przejazd riksą, jadąc tym wynalazkiem nie trzeba przynajmniej uważać na trąbiące samochody. Jedziemy oglądać Swayambunath - miejsce święte zarówno dla buddystów jak i hinduistów, nazywane też "świątynią małp". Trzeba na te święte zwierzątka nieco uważać, bo są dosyć "łapczywe", a jest ich sporo. Z powrotem już na butach, po drodze patrzymy na obrzędy pogrzebowe - będą palić zwłoki, a potem pewnie prochy wrzucą do rzeki. Kolację zjadamy w "Tibetan Kitchen", targujemy się o wisiorki, i przeciskamy się wciąż zapchanymi ulicami - riksze, motory, dzieci, pamiątki... i nieustannie trąbiące samochody. Wieczorem pakujemy cztery wielkie torby ze sprzętem i nasze plecaki, trochę rzeczy zostawiamy w depozycie w hotelu. Zasypiamy w hotelu na 6 piętrze, obok kuchni i stołówki "na dachu" - tu zresztą bardzo wiele dachów wykorzystanych jest jako część mieszkania. I nie ma kotów na dachach, ale za to dużo psów na ulicach.

04.10 /sobota/ - O 7.30 Sonam jedzie z nami na lotnisko, tu pomaga nam w odprawie - cztery pudła z jedzeniem zostają, bo i tak mamy 49kg nadbagażu - płacimy za to 2000 ruphi. Jedzenie na A.D. przyleci z szerpami - za dwa tygodnie. Czekamy trochę na zatłoczonym lotnisku, aż

w końcu jest - mały samolot na 16 osób, którym odlatujemy do Lukli. Lecimy tylko 23 minuty - Michał zakochuje się w stewardessie, którą określa jako "nie dopracowana STEFA", a my zachwycamy się pierwszym widokiem na ośnieżone szczyty Himalajów. Ostro lądujemy w Lukli na pasie, z którego jednej strony jest przepaść, a z drugiej pionowy mur - pilot musi bardzo szybko hamować. Za płotem lotniska przeciskamy się przez tłum Nepalczyków, porterów i uginając się pod ciężarem własnego bagażu, idziemy do hotelu Paradise. Tu negocjujemy z przedstawicielem Mountain Tribe i wynajmujemy porterów, którzy poniosą nasze torby ze sprzętem potrzebnym na Island Peak. Nasze bilety na lot powrotny zostawiamy właścicielce hotelu, która obiecuje potwierdzić rezerwację przed odlotem oraz zapewni nam miejsca do spania. Zjadamy obiad, popijając pierwszą MILK TEA i patrzymy jak obok nas właścicielka ryż z dodatkami wcina palcami - to dopiero początek folkloru lokalnego. Nasz trekking rozpoczynamy w Lukli - na wysokości 2800m.

Przed 2.00 PM ruszamy w górę, a raczej w dół, bo więcej schodzimy. Co chwilę mijamy sklepy, restauracje, z bliska przyglądamy się nepalskim wioskom. Około 16.30 jesteśmy w Phading (2700 m), tu powinniśmy spać, ale wszyscy mają ochotę iść jeszcze dalej więc idziemy do Namche Bazar. O 18.00 robi się ciemno, przegapiliśmy ostatni sklep, mamy mało wody a chce się pić, teraz jest już zdecydowanie pod górę a droga ciągnie się coraz bardziej. Mały postój mamy przy posterunku kontrolnym, gdzie sprawdzane są kwity opłaty za wstęp do Parku Narodowego Sagarmatha. Dalej przechodzimy przez kilka wiszących mostów, mijamy pierwszy punkt z widokiem na Everest, ale my widzimy tylko mnóstwo gwiazd i księżyc na ciemnym niebie. Wszystkie wioski zostały za nami, towarzyszą nam już tylko ciemne sylwetki drzew i kamienie, które czujemy pod stopami. Iwona i Paweł zostają w tyle, co powoduje serię połączeń z Polską - telefony i sms-y od Bogdana. Wreszcie są światła - to znak że za chwilę będziemy na miejscu. Przed Namche mijamy jeszcze jakąś małą osadę, gdzie podglądamy mieszkańców w ich małych domkach, przy słabych żarówkach lub przy blasku płomieni, cała rodzina w jednej izbie, a z nimi jeszcze nieraz zwierzęta. Tu nie ma komputerów, ani nawet telewizorów. Jeszcze nie wiemy, że życie toczy się tu od wschodu do zachodu słońca. Jest 21.00 kiedy wchodzimy do Namche Bazar - tu wszyscy już śpią? Hotel Thanga jest już zamknięty, ale pomaga nam właściciel kawiarenki internetowej, która jest obok hotelu - idzie z nami, dobija się do drzwi, w końcu gospodyni otwiera okno - i gdy mówimy, że to 10 osób i aż dwa dni, chętnie wpuszcza nas do środka. Za chwilę dostajemy pyszną kolację - FRIED POTATO WITH VEGETABLES, jest też prysznic z ciepłą wodą - jak się później okazuje jest to ostatni "normalny" prysznic. Hotel jest bardzo OK, i obsługa bardzo miła.

Zasypiamy w Namche Bazar na wysokości 3440 metrów.

05.10 /niedziela/ - Po śniadaniu idziemy na spacer - na górkę 3900m, tam - jakiś festiwal, samoloty, loty,... Darek donosi, że 3 osoby będą skakać z samolotu na wysokości 9000m nad Everestem i ze spadochronem lądować w bazie. Z góry widać całe Namche, które

rzeczywiście przypomina amfiteatr. Schodzimy na dół, robimy zakupy i korzystamy z ostatnich dobrodziejstw cywilizacji - bank, kantor, internet, zasięg telefonu komórkowego. Kupuję sobie kurtkę puchową MAMMUT - NO ORIGINAL jak prawie wszystko w tej okolicy. Tylko buty La Sportiva są oryginalne, podobno prosto z Ameryki, niestety trochę za małe. Po południu pada deszcz, ale my już jesteśmy wtedy w hotelu. I tu znów zostawiamy parę rzeczy w depozycie - i tak powoli okazuje się jak coraz mniej rzeczy wystarczy nosić żeby przetrwać i dobrze się przy tym bawić.

06.10 /poniedziałek/ - Rano wita nas piękne słońce - i tak już będzie przez najbliższe dwa tygodnie. O 7.30 ruszamy z Namche Bazar, dziś na nocleg do Deboche - 3770 m. Po drodze zachwycamy się widokami na ośnieżone szczyty gór - Taweche, Ama Dablam, grupa Everestu, Thamserku, Kangtega,... Ok. 10.00 robimy mały rest - to czas na MILK TEA i kanapki z pasztetem - naszym polskim, i chleb też jeszcze z kraju - choć już trochę stary, to smakuje wyśmienicie - chleb z zabrzeskiej piekarni. Tutaj też gubimy Rafała, albo on gubi nas. Potem idziemy piękna doliną, strome podejście i jesteśmy w Tengboche - 3860 m. Zwiedzamy buddyjski klasztor i schodzimy prawie 100 m niżej. O 14.00 jesteśmy w hotelu, Rafał się odnajduje, a my wracamy "po zasięg" do Tengboche jest to ostatni raz kiedy możemy wysłać sms-y przed powrotem do Namche Bazar. Piszemy kilka słów do prezesa. W hotelu jest bardzo miło, gospodarze wiedzą co to PKA - ten hotel był drugim domem dla Bogusia podczas jego wyprawy na Everest. Wieczorem po raz pierwszy pijemy RUM KHUKRI - dla zdrowia!

07.10 /wtorek/ - Na śniadanie jemy TIBETAN BREAD WITH OMLETTE, do tego dżem i miód, i oczywiście MILK TEA. Wychodzimy o 7.30 i dziś głównym bohaterem naszych zdjęć jest Ama Dablam. Pogoda jak zwykle dopisuje. Około 14.00 jesteśmy w Periche - 4250m. Śpimy w SNOW LAND LODGE - to taki hotel "z klimatem". Jana ma problemy z gardłem - Khumbu-kaszel?, i niektórzy wyraźnie odczuwają skutki przebywania na dużej wysokości. Siedzimy na jadalni, popołudniu zaczynam robić swoje notatki - piszę 1-7 dzień.

Dochodzi 19.00 - my dalej siedzimy. Zjedliśmy obiad - GARLIC SOUP i MACARONI WITH CHEESE oraz inne specjały jak kawa, kisiel - bo co tu robić? A teraz kolacja - PANCAKE w/JAM, każdy zamawia co innego - testujemy niemal całe menu. Jana już oficjalnie przyznaje: ALE NUUDY!, a Radek coś opowiada by towarzystwo trochę się rozruszało. Na środku sali piecyk - grzeje coraz mocniej, suszymy nasze pranie. To gówna z jaka - wysuszone, teraz dają takie ciepło. Gospodarze dokładają do ognia, a potem zaraz do kuchni - wątpliwe czy umyją ręce. Za chwilę przynoszą nasze jedzenie. Tutaj o czystości i higienie lepiej nie myśleć. A po rumie można być niekoniecznie zdrowszym, ale na pewno mniej zestresowanym.

Wieczorem idę z Janą na spacer - jest cicho, ciepło i miło. Obchodzimy dookoła całą wioskę i zajmuje nam to zaledwie kilka minut. Księżyc robi się coraz większy. Obliczyliśmy że pełnia będzie wtedy gdy pójdziemy na

Island Peak.

08.10 /środa/ - W nocy prawie nie śpię, myślę o prowadzeniu za 8 dni, tylko w przerwach między niespaniem śni mi się prezes - spotykamy się gdzieś na basenie... Rano - śniadanko - jak zwykle o 7.00, potem idziemy na "spacer" na lekko, ale pod górkę. W nocy był mróz, woda przymarznięta, dopiero w słońcu się stopi. Jest ładna pogoda, robimy dużo zdjęć. Góry pięknie błyszczą w słońcu - za nami Kangtega i Thamserku, obok Ama Dablam tym razem z innej strony, a z przodu Lhotse i przed nią Island Peak. Nasza górka wygląda całkiem niewinnie, ale podejście męczy coraz bardziej. Na szczycie jesteśmy ok. 10.00 - Darek, Radek 20 minut później, a ja - 5 minut za Radkiem. Tutaj po raz pierwszy na tej wyprawie pobijam swój rekord wysokości -5083m. Na to by weszli wszyscy musimy jeszcze czekać prawie godzinę. Robimy fajne zdjęcia, misiowi też, a zanim przychodzi ostatnia część ekipy - wszystko gubi się we mgle. Po długim odpoczynku - aklimatyzacji schodzimy do Periche. W naszym hotelu zaczynamy od prania, kąpieli, potem obiadek i znów siedzimy, siedzimy... aż do wieczora. O 18.00 jest już całkiem ciemno. Od sherpy dostajemy NEWSa: dziś rano w Lukli rozbił się samolot - stanął w ogniu, zginęło 17 osób, w tym 7 Nepalczyków, przeżył tylko pilot. Poprzednia katastrofa była kilka lat temu. Jemy kolację, a jutro - zamiast do Dukli, chyba pójdziemy aż do Luboche. Czuję się dobrze, ale niektórzy - trochę mniej. Znów zostawimy trochę naszych rzeczy w hotelu - w obliczu konieczności noszenia wszystkiego na własnym garbie - coraz więcej rzeczy okazuje się po prostu niepotrzebne. Góra, którą dzisiaj zdobyliśmy nazywa się Nangkar Tshang Peak (5083m) i jest moim pierwszym pięciotysięcznikiem.

09.10 /czwartek/ - Wychodzimy przed 8.00 i jak zwykle rano słońce pięknie świeci. Plecaki mamy znacznie lżejsze, zostawiliśmy depozyt w hotelu. Dwie godziny idziemy do Dhukla-Thukla, tutaj - przerwa na MILK TEA. Herbata z mlekiem jest zawsze bardzo słodka, czasem gęsta od mleka i daje dużo energii. W tzw. między-czasie, gdy inni odpoczywają, idę z Rafałem zobaczyć jezioro Tshola Tsho - całkiem zielone wyłania się zza mgły. Zajmuje nam to około godziny choć wydawało się że będzie blisko. Wracamy do herbaciarni, większość grupy już poszła, więc i my szybko ruszamy. Jestem głodna i słaba, idę resztkami sił i trudno złapać oddech. Po drodze mijamy pomniki tych co zginęli tu pod Everestem. I tak około 13.00 dochodzimy do Luboche - 4930 m. Nie chcemy miejsca w hotelu za 1260Rh/pokój dla dwóch osób, więc znajdujemy inny hotel - taki z himalajskim klimatem. Jest tu dosyć tłoczno, ale my dostajemy apartament z piętrowym łóżkiem na 15 osób. Nas jest tylko 8, bo Mamuty poszli do innego hotelu, więc mamy całkiem niezły komfort. W pokoju nie ma żadnego okna, podłoga z desek, a ściany i sufit - z folii takiej jak ruskie siatki są robione. Na obiad zamawiam ONION SOUP i nic nowego - FRIED POTATOS. Kuchnię mijamy przy wejściu do hotelu, a gdy widzę w jakich warunkach przygotowywane jest nasze jedzenie - więcej nie patrzę w tamtą stronę (bo okazuje się że ugotowany makaron wysypany

bezpośrednio na brudny drewniany stół między miskami, garami i częściami innych potraw, po wylądowaniu na jakimś talerzu, może smakować całkiem nieźle, pod warunkiem że się tego wcześniej nie widzi). Po południu idziemy jeszcze na górkę zobaczyć Khumbu Glacier, potem podziwiamy Nuptse (7879m) o zachodzie słońca. W hotelu jest miło, ciepło i ciasno - jadalnia jest pełna ludzi - grają w karty, czytają gazety, sherpowie i porterzy grzeją się najbliżej pieca. Ta osada to już tylko kilka hoteli - LODGE, czynna tylko w sezonie, coraz trudniej o miejsce, choć turystów w Himalajach wydaje się być dosyć mało.

10.10 /piątek/ - Pobudkę mamy o 3.00, a o 3.30 wychodzimy - dzisiaj na Kala Pattar. Jest ciemno, droga szybko ucieka, trochę niektórzy błądzą, ale odnajdujemy się w Gorak Shep - 5160 m. Jemy zakupione na śniadanie, a TIBETAN BREAD, który wzięliśmy ze sobą na drogę jest mało zjadliwy, tzn. jest okrutnie niedobry. Zregenerowani idziemy dalej, z każdym krokiem oddycha się coraz ciężiej. O 9.15 siedzę już na szczycie - Kala Pattar to świetny punkt widokowy i "przy okazji" po raz drugi pobijam swój rekord wysokości - 5550 metrów. Przed sobą widzę góry giganty - Everest, Nuptse, Lhotse, gdzieś w dole Everest Base Camp, za mną Pumori i dużo innych białych szczytów. Trudno sobie wyobrazić, że ściany tych gór mają nawet po kilka kilometrów w pionie. To robi wrażenie. Sesja zdjęciowa zajmuje nam dużo czasu, zresztą przyjemnie się siedzi w takiej scenerii. Jest ciepło, słońce mocno opala, i choć granica śniegu to pięć tysięcy metrów to na tej górcie nie ma go teraz wcale. Jest za to sporo innych turystów wraz z nami. Schodzimy z powrotem do Gorak Shep, na obiad jak zwykle coś FRIED... Po reście 5 osób rusza do Base Camp, ale Iwona szybko wraca, więc idziemy dalej w czwórkę. Przechodzimy przez lodowiec, patrzymy jak zjeżdża lawina, a pod nogami zamiast lodu mamy kupę kamieni. Base Camp to kilka namiotów między tymi kamieniami, ale w sezonie jest ich tu kilkadziesiąt lub kilkaset. Stąd zakłada się jeszcze cztery obozy w drodze na szczyt, i żeby stanąć na Evereście trzeba tu spędzić kilka tygodni.

Wracamy, ale niekoniecznie jest teraz z górki. Każde podejście to duży wysiłek, brakuje tchu. Wydaje mi się, że cały dzień idę "resztkami sił", ale tych resztek jest całkiem sporo. Trochę rumu na wzmocnienie - pijemy za zdobywców, za nas, a potem doganiamy Iwonę. Jest już ciemno, ale wracamy bez czołówek, bo księżyc rozświetla nam drogę. Wracamy do hotelu niemal jak bohaterowie, sherpowie robią nam wolne miejsca i patrzą z podziwem - Lobuche-Gorak Shep-Kala Pattar-Base Camp-Lobuche - to dosyć sporo jak na jeden dzień. Wieczorem w hotelu jest bardzo międzynarodowo - obok nas Słoweńcy, Niemcy, Japończycy, Nepali,...

Ktoś wnosi tort z dwiema świeczkami, śpiewamy STO LAT, miło się gawędzi gdy rumu coraz więcej, impreza się rozkręca, ale my o 20.00 idziemy spać. Za oknem widać Nuptse - jego biel pięknie wygląda w blasku księżyca.

11.10 /sobota/ - Możemy spać do oporu, ale się nie da, pomimo

zmęczenia. W nocy niby wszyscy śpią, ale każdy udaje, bo co ktoś się poruszy, coś powie albo łapnie za butelkę z wodą - to okazuje się że towarzystwo czuwa, i tak do rana. O ósmej wstajemy, wychodzimy z naszej norki na śniadanie, za oknem piękna pogoda, żadnej chmurki, ale jest zimno. Dziś schodzimy z Luboche do Periche. Około 13 jesteśmy w hotelu, tu - prysznic -podobno ostatni na kilka dni, pranie, obiad. Poza nami w tym hotelu jest tylko obsługa. Słaby prąd psuje nam ładowarki, ciemno jest nawet przy lampie, ciepło, bo grzeją nas piecyk, puchówki, śpiworki, i tak spędzamy popołudnie. Rozmowa coś się nie klei, więc znów jemy i pijemy - kawę jeszcze z Polski przywieziona, piwo marki EVEREST, ziemniaki w mundurkach, bo tych "fried" powoli mamy już dosyć. Dzisiaj podobno jest mecz Polska - Czechy, a za dwa dni będzie pełnia księżyca. Tutaj nikt nie ogląda nawet telewizora.

12.10 /niedziela/ - Znowu słońce, znowu o 7.00 śniadanie i znowu ruszamy w trasę. Z Periche do Chukung (4730m) idziemy piękną, malowniczą doliną - za nami po prawej zostaje Ama Dablam, po lewej zbliżamy się do Lhotse, a przed nami Island Peak. Idzie się łatwo, w górę rzeki. Darek z Radkiem odskakują w Dingboche do kafejki internetowej sprawdzić wynik meczu - Polacy wygrali z Czechami 2:1, a u nas Michał i Paweł wygrali po 1500Rh, bo robiliśmy zakłady. Po trzech godzinach marszu jesteśmy na miejscu.

W Chukung pierwsze chwile to niepewność - czy są nasze bagaże, które 8 dni temu oddaliśmy porterom w Lukli? W hotelu Ama Dablam najpierw jakby nikt o nich nic nie wiedział, ale za chwilę - ach, jaka ulga! - nasze cztery kolorowe torby leżą sobie w jakimś składzie hotelowym. Zostajemy w tej lodży i najpierw - mała sesja zdjęciowa, bo za chwilę jak zwykle popołudniu nadejdą chmury. Bezskutecznie szukamy pomnika Jerzego Kukuczki, później okazuje się, że tablica została przeniesiona dalej, w dół doliny, jakieś pół godziny drogi przed wejściem do wioski. Tradycyjnie pijemy MILK TEA, a potem mamy ćwiczenia na skale, a raczej na kamieniu - podchodzenie na "małpie" i zjazdy. Na obiad - nic nowego, coraz częściej opowiadamy o polskich przysmakach, które w kraju niekoniecznie za takie są uważane, na przykład chleb z serem i pomidorem. Pakujemy dwie torby ze sprzętem i udajemy się na poszukiwanie porterów. Najpierw odwiedzamy hotel "z klimatem", ale tam niczego nie załatwiamy. Idę więc z Darkiem i Radkiem do najgorszej chyba chaty we wsi wzbudzając przy tym niemałe zdziwienie gdy się zbliżamy. Kilku chłopaków patrzy na nas zaskoczonych tą wizytą i wygląda na to że turyści nie przychodzą w takie miejsca. Wreszcie wychodzi boss, który "speak English" i dogadujemy się - "2 porters, 2 bags, 2 days & 3000 Rh".

Popołudnie i wieczór spędzamy jak zwykle przy jedzeniu, i tak do 21.00. Wieczorem księżyc jasno świeci, chmur już nie ma, góry ładnie widać, piszę, ale zimno mi w ręce. Dobranoc!

13.10 /poniedziałek/ - Budzimy się w hotelu Ama Dablam, na śniadanie wciąż te same dania. Pakujemy się na Island Peak i przed 12.00 wychodzimy do bazy. Dwóch porterów niesie nasze dwie ciężkie torby ze

sprzętem za 1500 Rh. W bazie jesteśmy około 15.00, rozbijamy trzy namioty, o 18.00 robi się ciemno, księżyc jest w pełni i na niebie mnóstwo gwiazd.

14.10 /wtorek/ - Pobudka jest w środku nocy, ja z Mamutami ruszam w drogę o 2.50 - trochę wcześniej niż pozostali, bo oni wyjdą o 3.30 i jeszcze przed wschodem słońca nas dogonią. Idziemy kamieniami, mocno w górę, wolno, długo czekamy na tych co na końcu, jest piękna pogoda - i tak dochodzimy do granicy śniegu. O 9.15 zakładamy raki, uprząże i wiążemy się na linach - 3x3. Najpierw droga prowadzi wydeptaną ścieżką między szczelinami, potem ściankę gdzie "małpujemy" robimy w 1,5 godziny. O 12.50 wraz z Grzegorzem i Rafałem stajemy na szczycie Island Peak - 6189m. Nasz zespół jako drugi, jesteśmy zmęczeni, ale szczęśliwi. "Pokonam siebie, pokonam siebie, udowodnię, że mogę lepiej..." - śpiewaliśmy dwa miesiące wcześniej, kiedy z Darkiem wchodziłam na Blanka. Szybko robimy zdjęcia, bo chmur na niebie jest coraz więcej i na szczycie mało miejsca. Wracamy - najpierw zjazdy na linie, lodowiec, a potem już luzem. W bazie jestem o 16.10, ostatni - 1,5 godziny później. Pakujemy plecaki, namioty i jest już prawie ciemno gdy zaczynamy schodzić do Chukung. Tylko Mamuty zostają na noc w bazie. Idę wolno, bo Jana kiepsko się czuje. Jest ciepło, choć woda w butelce zamarza, i jasno - księżyc w pełni świeci tak, że czołówki nawet nie trzeba. Góry błyszczą swoją bielą, a droga ciągnie się w nieskończoność. Dochodzimy do Chukung i tym razem w hotelu SUNRISE zjadamy kolację i zasypiamy. Możemy spać do oporu.

15.10 /środa/ - Budzimy się o 6.00, ale szybko dalej zasypiamy. Wstajemy o 10.00. Dziś są moje imieniny. Na śniadanie zamawiamy tosty francuskie z tuńczykiem, a potem obijamy się do południa i jeszcze dłużej... Chcemy schodzić do Dingboche, ale najpierw czekamy na Mamutów, a potem na ich "green bag". W końcu ruszamy w drogę, ale jest już ciemno gdy dochodzimy, a raczej zbiegamy do wioski. Przed wioską musimy przejść przez pastwiska jaków i pokonać kamieniste murki, i tu widzimy jaka, który skacze przez murek o wiele sprawniej niż my. W hotelu SNOW LION nie ma wolnych miejsc na nocleg więc wracamy w górę wioski. Prowadzi nas porter i teraz pod górkę już nie jesteśmy tak szybcy jak on. Nepalczyk wskazuje nam hotel swojego przyjaciela. Nasza łódź wygląda trochę dziwnie - tam gdzie wchodzimy jest półmrok, przy blasku płomieni z pieca grzeje się kilka osób - to kuchnia, a po bokach jakieś sienniki do spania. Na górze znajdujemy nasze pokoje i dużą salę z piecykiem pośrodku. Nie ma tu bieżącej wody, ale gospodarze obiecują, że będzie ciepły SHOWER. Zostajemy. Na dole kręci się rodzinka - przy blasku ognia i przy świeczce, potem śpią w swoich zakamarkach..., na kuchnię wolimy nie patrzeć.

Stawiam "imieninówkę", potem kilka następnych butelek rumu, i tak na wysokości 4400 m robi się coraz weselej.

16.10 /czwartek/ - Ciężko się wstaje, od dzisiaj o rumie nikt nawet nie

wspomni. Z rana długo oczekiwany prysznic, który okazuje się wcale nie być prysznicem tylko kubkiem do polewania, a do tego wiaderko z wrzątkiem i miska z zimną wodą - na brudnych kamieniach to prawdziwie ekstremalne wyzwanie. Dziś - dzień restowy, tylko słońce nie próżnuje. Obijamy się i nudzimy całe popołudnie, dzwonię do domu (1min 20sek - 300Rh). Pakujemy dwie torby, które porterzy zainoszą nam do Lukli. Potem idziemy do hotelu SNOW LION na spotkanie z szerpami, tu mamy info o Ama Dablam: jest dużo śniegu, 14 zespołów czeka w bazie, 3 już się wycofały, nie ma poręczówek,... Szerpowie mówią po angielsku, ale ciężko ich zrozumieć.

Kolację zjadamy w hotelu obok, po porannej ohydnej zupie czosnkowej o kuchni naszych gospodarzy już wolimy nie myśleć. Idziemy tam gdzie lepsze jedzenie, choć wciąż to samo - FRIED RICE with VEGETABLES. Wracamy do lodży, do naszych śpiworków i to już ostatni wieczór gdy jesteśmy wszyscy razem.

17.10 /piątek/ - Rano słońce mocno grzeje, wstajemy, pakujemy się, dzisiaj się rozchodzimy. Idziemy na dobre śniadanko, potem do CAFE INTERNET - Darek informuje PKA, że wracamy przez przełęcz Cho-La, Alpinus cieszy się ze zdjęć, kręcimy krótki film na tle Ama Dablam - Darek, Radek, Jana, Grzegorz i Michał będą teraz zdobywać tę dostojną białą górę.

O 12.30 mówimy sobie do zobaczenia w kraju i w pięć osób ruszamy w stronę Dukla-Thukla. Ze mną wraca Iwona, Alek, Paweł i Rafał. Odcinek drogi do Dukli to powtórka sprzed kilku dni, tu - mała przerwa na MILK TEA, i dalej do Dzongla. O 16.30 jestem już w hotelu, ale miejsca do spania są już tylko w DINING ROOM. Na razie jest tu bardzo ciasno, więc Mamuty chcą iść do namiotu przy drugim hotelu. Poza dwoma małymi lodżami w tej okolicy nie ma nic więcej. Paweł, Rafał i ja zostajemy i zajmujemy dosyć wygodne miejsca, do spania też. Jest dużo ludzi, ciepło i nie przeszkadza nam, że dwie godziny musimy czekać na obiadek - MUSHROOM SOUP (240 Rh) i FRIED POTATOES w/VEG. (260 Rh) i do tego cały BIG POT of BLACK TEA. Po drodze tutaj po raz ostatni podziwialiśmy Ama Dablam w tle zielonego jeziora - piękne widoki, ale coraz mocniej zasłaniane przez chmury. Szliśmy niecałe cztery godziny.

Teraz gdy piszę szerpów na sali coraz więcej, "westmani" szybko się rozchodzą - mają miejsca do spania. My pilnujemy swoich miejsc na ławach za stołem - są szerokie, wyścielane, jest tu ciepło, będzie wygodnie. Siedzi tu ponad dwudziestu Nepalczyków, trzech Włochów - oni zaraz chyba pójdą, i ja.

Wychodzę na chwilę na zewnątrz. Tuż za wyplaszczaniem na którym stoi nasza lodża wznosi się niemal pionowo biała ściana Arakam Tse. Ponad 1,5 km w górę. Nad nią iskrzą się gwiazdy a w blasku księżyca śnieg lśni swoją bielą. Magiczny widok - góra w obliczu której człowiek jest taki malutki. Ale to jeszcze nie koniec niespodzianek na dzisiaj - gdy wracam do hotelu czeka mnie jeszcze jeden zaskakujący widok. Tym razem z zupełnie innej bajki.

Ktoś zajął moje miejsce? Środek sali jest pusty, wszystkie krzesła

posprzątane. Pod jedną ścianą siedzi Rafał i Paweł, i ja do nich dołączam. Pod pozostałymi dwoma ścianami, za stołami siedzą szerpowie i porterzy, jest i około 25. Jedzą kolację, a niektórzy jeszcze czekają na swoją kolej. Na talerzach ryż i soczewica. Nie ma zwykłego jak na stołówce gwaru, jedzą w ciszy i skupieniu, słychać tylko szybki stukot łyżek o talerze. Dyskretnie obserwujemy te wygłodzone twarze i pokorne oczy, jedzą łapczywie, mam wrażenie, że na ten posiłek czekali cały dzień. Teraz ruszają dokładki, które równie szybko znikają z talerzy. Do picia - czysta woda, trzy dzbanki na wszystkich, ale kubków czy szklanek dla nich nie ma. Piją tak by ustami dzбанка nie dotknąć. Nikt nie wydaje poleceń, każdy zna swoją rolę. Po kolacji kolejno wstają i szybko opuszczają ciepłą salę. Idą spać do swoich norek? My wyciągamy puchowe śpiworki. Na stołówce z nami nocuje kilku szerpów - chyba tych najważniejszych, wyciągają butelkę rumu, a my zasypiamy. To co zobaczyliśmy to jeden z ciekawszych obrazków całej naszej wyprawy.

18.10 /sobota/ - Rano o 7.00 śniadanie już na nas czeka, o ósmej chcemy wyjść. Dziś jeszcze raz mamy wyjść powyżej 5 tysięcy - na przełęcz, a potem już będzie w dół. Przychodzą Mamutki i zaczynają od tego, że oni już wyżej nie pójdą, chcą wracać z powrotem, niekoniecznie bliżej. A my tu mamy takie plany - Gokyo Peak! Na szczęście dają się przekonać i o 8.00 wychodzimy. Dochodzimy znów do granicy śniegu, o 11.30 jesteśmy na przełęczy, strome zejście po kamieniach, potem jeszcze kilka górki i o 14.30 jesteśmy w pierwszej napotkanej tego dnia lodży. MILK TEA i TOMATO SOUP trochę regenerują nasze siły i wkrótce ruszamy dalej. Przechodzimy przez lodowiec, jest tu pięknie - kolorowe jezioro i wspaniałe widoki, sesja zdjęciowa trwa. Z małej pustyni zabieram do plecaka "trochę" piasku. Mamuty z Pawłem schodzą tego dnia do Phang, a ja i Rafał idziemy do Gokyo nad trzecie jezioro. Znów śpimy "za stołem", bo miejsc w pokojach nie ma. W DINING ROOMie jest ciepło, gwarno i miło. Sporo ludzi, a my czekamy aż sobie pójdą. Tym razem śpi tu z nami więcej turystów. Niebo jest pięknie wygwieżdżone, a my o czwartej nad ranem chcemy wyruszyć na podbój kolejnego pięciotysięcznika.

19.10 /niedziela/ - Cicha muzyka z telefonu Rafała budzi nas w środku nocy. Wstajemy, chociaż mało mi się chce, cichutko - żeby innych nie pobudzić. Zostawiamy część naszych rzeczy i o 4.00 wychodzimy na Gokyo Ri - 5360m. Tuż za hotelem przechodzimy rzeczkę i zaczynamy ostry marsz pod górę. Przed nami dwie ekipy, ale szybko je doganiamy. Im bliżej celu tym szybciej idę - prowadzę wyścig ze słońcem. Po dwóch godzinach jesteśmy na szczycie. Tu na razie pusto, tylko trzy osoby z profesjonalnym sprzętem do filmowania czeka na wschód Słońca. Ale za chwilę robi się tłum. W blasku wschodzącego słońca podziwiamy cztery ośmiotysięczniki: Everest, Lhotse, Cho Oyu, Makalu, z każdą sekundą w innym świetle. Zachwycamy się coraz to innymi widokami. Po półgodzinnej sesji zdjęciowej schodzimy i o 8.00 jesteśmy z powrotem w naszej lodży. Tu już wszyscy sobie poszli, gospodarze sprzątają, a my na

śniadanie zamawiamy FRIED POTATOES. Właścicielka hotelu jest zadowolona: "very good guests - one night, one dinner, beautiful view", dostajemy od niej ciasteczka na drogę i o 8.40 wyruszamy dalej - do Namche Bazar! Myśl o tym że już za kilka godzin będzie normalny prysznic i zasięg telefonu podnosi na duchu i dodaje sił.

Schodzimy doliną - widoki są piękne, z jednej strony, za nami, dolinę zamyka Cho Oyu, a z drugiej - Thamserku i Kangtega. Do południa idziemy razem, choć wciąż gonię Rafała, po drodze robię dużo zdjęć. Potem zostaję w tyle. Mamuty i Paweł też już dawno wyszli z Phang. Idę na końcu, a raczej trochę się wlokę tego dnia. Na końcu doliny droga skręca mocno pod górę, nade mną wznosi się przełęcz i straszą granatowe chmury. Teraz już wiem że muszę się spieszyć, bo za chwilę będzie ciemno. Spotykam miejscowego "guide", który pyta gdzie idę. Kiedy słyszy jaką dziś robię trasę - łapie się za głowę ze słowami "What a strong woman!". Tylko ja już wcale "strong" nie jestem. Nepalczyk mówi mi, że przede mną jeszcze dwie godziny marszu i mam iść wolno. Ja przyspieszam ile mogę. Dochodzę do przełęcz, a stamtąd widzę moją ścieżkę, która znika gdzieś w oddali za kolejnym zakrętem. I tak będzie jeszcze kilka razy. I ani śladu po Namche Bazar! Idę przez Khumjung - ładne miasteczko, ale muszę je szybko minąć, zaczyna trochę padać. Gdy pytam o drogę do Namche - ktoś robi "wielkie oczy" - przecież już prawie ciemno! Jakiś młody Nepalczyk rysuje mi drogę na drodze i mówi że stąd to jeszcze pół godziny. Wychodzę poza miasto, pod górę, robi się mgła, mam nadzieję że po drugiej stronie zobaczę Namche Bazar - a tu nic! Ktoś idzie z naprzeciwka i mówi mi, że to dobra droga, i jeszcze 15 minut, ale za chwilę jest już całkiem ciemno. Moja czołówka leży zalana w plecaku, a księżyc dzisiaj nie rozświetla drogi. Przed sobą widzę tylko dwa światła, choć powinno być całe miasteczko. Idę tam. W pierwszej lodzy pukam, ale nikt nie odpowiada. W drugiej nie daję za wygraną, choć tu też nikomu się nie spieszy. Gdy po długim, coraz mniej delikatnym stukaniu w drzwi, gospodarze otwierają i patrzą zdziwieni, ja tłumaczę: "I need you help me, I must go to Namche Bazar, but I don't know where is the way...".

Wchodzę do środka, w kuchni jest ciepło i przytulnie, widzę, że to samo pomieszczenie w dzień jest sklepem, na półkach towar równo poukładamy a w piecu wesoło podskakują płomienie. Gospodarz obiecuje, że mi pomoże, więc mogę spokojnie poczekać. Dostaję prywatnego "guide", który za 500 Rh zaprowadzi mnie do miasteczka - po omacku. Stary Nepalczyk bierze kosz z towarem na głowę i ruszamy. Widzę przed sobą nikły jego cień, księżyc a ni śladu i tylko jedną gwiazdę widzę.

Zastanawiam się jakie zwierzęta mogą grasować w tych stronach i tylko yeti i bażanty przychodzą mi do głowy. Na szczęście nie doczytałam w przewodniku o wilkach, panterach i czarnym niedźwiedziu himalajskim. "W Nepalu spotykamy około 30 gatunków dużych, dzikich zwierząt..."

Podobno mamy iść drogą dłuższą, ale łatwiejszą, jednak tam gdzie idziemy to chyba skrót, bo wcale łatwo nie jest. Boję się żeby dziadek nóg nie połamał. Ja idę na cztery - dwa kijki i dwie nogi, bardzo wolno, byle skutecznie. Dziadek mamrocze coś pod nosem, a ja wciąż wypatruję światła. Wreszcie za moment pokazuje się Namche Bazar - jakieś 200

metrów pode mną, masa świateł w głębokim dole. Widzę, że sama nie dałabym rady, mój "guide" zna drogę na pamięć, a ja za nim krok w krok - ostro w dół, coraz bliżej celu. Przed 8.00 jestem w hotelu, oddycham z ulgą gdy widzę, że wszyscy są. Tak miało być. Szkoda tylko, że nikt się o mnie nie martwił. Na kolację jemy SIZZLE YAK w/VEG. - coś nowego i wreszcie mięso! Bola mnie zęby i idę spać.

20.10 /poniedziałek/ - Już o szóstej rano ulice Namche Bazar tętnią życiem, kramy już porozkładane, przechodzą yaki i turyści. Po śniadaniu kupuję soft-shell dla prezesa, wysyłam kilka SMS-ów i przed 9.00 wyruszamy w ostatni odcinek naszej himalajskiej wędrówki. Droga do Lukli z rana jest mocno zatłoczona - turyści "świeżynki" i ci co wracają, między nimi porterzy i obładowane yaki. Z upływem dnia jest coraz lepiej. Robię dużo zdjęć - takich reporterskich, wioski i detale. Przed 16.00 jesteśmy w Lukli. Bagaże, pokoje i bilety już na nas czekają. Jutro odlatujemy. Po kolacji wychodzimy "na miasto", ale ulice już opustoszały. Tu też po zmroku życie zamiera. Szybko wracam do hotelu, zamawiam kawę i HIMALAYAN APPLE STRUDLE. Na jadalni sporo ludzi, większość Czechów. Jeden z nich opowiada mi jak tu, w górach, wyglądało, kiedy tu był osiem lat temu - raczej mało co wyglądało, a od tego czasu bardzo wiele się zmieniło. W gwarnej i ciepłej hotelowej jadalni czas przyjemnie płynie, a ząb boli mnie coraz mocniej. Rano mąż właścicielki hotelu odprowadzi nas na lotnisko.

21.10 /wtorek/ - Pobudka o 5.00, śniadanie o 5.30, bo o 6.00 wychodzimy już na lotnisko. Trochę dziwna jest procedura odprawy, nie wiemy nawet o której mamy odlot. Ważny jest kolor biletu. Samoloty jeden za drugim lądują, szybka wymiana pasażerów i znów startują. O 7.20 wsiadamy do samolotu, by po 23 minutach i 21 sekundach lotu bezpiecznie stanąć na ziemi w Kathmandu (siedzę zaraz za pilotami i mam przed sobą wszystkie zegary w kabinie). Na lotnisku czekamy chwilę - tu po raz pierwszy Sonam czegoś nie dopilnował, nikogo po nas nie przysłał. Bierzymy taksówkę i za 500 Rh jedziemy do hotelu. O 8.30 jesteśmy już w hotelu i na razie dostajemy jeden pokój. Mnie boli ząb, a pozostali idą na miasto - zwiedzać świątynie. Udaje mi się zasnąć i jest prawie pierwsza gdy biorę klucz od swojego pokoju. Na zewnątrz jest gorąco i nigdzie mi się nie chce ruszyć. W rzeczach z depozytu znalazłam "śmiej-želki" - na poprawienie humoru. Dopiero późnym popołudniem głód wygania mnie z hotelu. Idę na obiad do restauracji tuż obok, tak by nie musieć przeciskać się przez zapchane ulice. Siadam w spokojnym zielonym ogrodzie i zastanawiam się czy coś się jeszcze dzisiaj wydarzy? Czekając na zamówienie patrzę jak obok siadają trzy pary - jedna z pań to młoda pani, dzisiaj był ślub a teraz ma być przyjęcie. Wkrótce podchodzi do mnie jej siostra, trochę rozmawiamy, robimy kilka wspólnych zdjęć, wymieniamy się adresami, dostaję zaproszenie do Pokhary - i tak rodzą się nowe znajomości. Do tego kolacja była pyszna. Wracam do hotelu. Gdy już wszyscy są idziemy jeszcze na chwilę posiedzieć na tarasie na dachu. Jest przyjemnie ciepło i wino

dobrze smakuje.

22.10 /środa/ - Budzę się w nocy kilka razy, choć środki przeciwbólowe dobrze działają, to trudno było zasnąć - z ulicy dochodziły jakieś huki, trzaski, odgłosy robót, ciężarówka w środku nocy... A jak ona wjechała w tak wąską uliczkę? Wstaję gdy dochodzi 11.00. Nie ma co się spieszyć. Dziś każdy robi co chce - Iwona, Alek i Rafał pojechali na kanioning, a Paweł decyduje po kolejnych świątyniach Kathmandu. Ja idę trochę na słońce, kąpiel, pranie i jest prawie wpół do drugiej gdy schodzę na śniadanie. W mojej ulubionej teraz "Garden Restaurant" zjadam CHICKEN THOKBET (po tybetańsku), GREEN SALAD i do tego COKE - wszystko za 150 Rh. Potem idę omówić nasz wyjazd z Sonamem, a gdy jestem już na mieście - ulegam sklepomanii. W hotelu ładują kolejno: torba z NORD FACE, szale, naszyjniki i bransoletki, 23 pary skarpetek,... i jeszcze soft-shell się wyszywa. O wszystko trzeba się mocno targować. I nawet brak prądu i światła w całej dzielnicy nie przeszkadza aby wszystko toczyło się swoim rytmem - przy blasku świec i latarkach.

Zakupy, zakupy,... ale z przerwą na kolację - VEGETABLES SPRING ROLLS (80Rh), CHICKEN MASHROOM BAMBOO SHOOT (170Rh), GORKHA BEER (170Rh). Niektóre dania to jak loteria - zamawia się wg nazwy, a co będzie na talerzu - się zobaczy. Czekam wśród zieleni, przy ładnej muzyce, właściciel lokalu zachwala swój cichy i spokojny kącik - jakże inny od tego zgiełku kilka metrów dalej. Zresztą nie musi zachwalać, i tak jestem tu stałym już gościem. Pyta jeszcze o Polskę i opowiada mi trochę o życiu w Nepalu.

Po kolacji wydaję niemal do końca resztę pieniędzy, a w księgarni kupuję mapę "Around Annapurna" - tak na zaś, na wszelki wypadek.

Wieczorem w hotelu mamy ciężkie pakowanie. Każdy z nas ma dużą torbę wypchaną po brzegi, a plecaki wyprawowe będą udawały nasz bagaż podręczny. Jutro o 10.00 mamy wyjechać z hotelu, ale autobusy i taksówki będą strajkować, więc jak dojedziemy? Może riksą? Sonam jednak obiecał, że zdążymy, a jak do tej pory to tylko raz nie dotrzymał słowa i miał na to usprawiedliwienie.

Na koniec dnia siadamy jeszcze na chwilę razem na tarasie i przy australijskim winie robimy podsumowanie wyjazdu.

23.10 /czwartek/ - Rano szybkie pakowanie, sklepy, śniadanie... Miał być strajk, ale go nie będzie. Mieliśmy jechać o 10.00 - Sonam coś o riksach wspomina, ale partia wczoraj w nocy się dogadała i strajk odwołali. Mamy więc dwie godziny czasu - gratis! O 12.00 jedziemy taksówką na lotnisko. Przyglądamy się temu miastu, ludziom niekoniecznie zabieganym, i myślę, że jest to wszystko na swój sposób wciągające. Z upływem czasu coraz bardziej się podoba - w tym "młynie" na ulicy, kurzu, brudzie, galerii kolorów i nieustannym hałasie jest jakiś urok, ale może to efekt przejściowy.

Dość szybko docieramy na lotnisko, lot mamy o 15.45 więc trochę poczekamy. Nadajemy nasze bagaże unikając opłat za nadbagaż, za to w podręcznym - jest co nosić. Spotykam znajomego Nepalczyka z lotu Delhi-

Kathmandu, potem mijamy się jeszcze kilka razy. Mówi mi że podczas jego wizyty w domu w zachodniej części Nepalu przez trzy tygodnie trwały ulewy. A my przez trzy tygodnie mieliśmy takie słońce!

Lecimy z Kathmandu do Delhi - 2 godziny. Potem czekamy 11 godzin na lotnisku w Delhi. Lecimy 6,5 godziny do Moskwy i znów czekamy 9 godzin, by za następne 2 godziny dolecieć do Warszawy. Nawet nie wiem kiedy następny dzień się zaczął. W Moskwie przesuвам zegarek: z 14.56 - czasu lokalnego nepalskiego na 11.11 - czasu warszawskiego. W Warszawie jeszcze dodatkowo 3 godziny czekamy na lotnisku na nasze bagaże - przylecą następnym samolotem.

24.10 /piątek/ - Siedzę w Irish Pub na lotnisku w Moskwie, piję irish coffee. Nie smakuje najlepiej, ale za to jest mocna. Za pół godziny mamy się zgłosić po bilety, a za 2,5 godziny - może odlecimy.

O wyprawie:

- Przez 17 dni górskiego trekkingu przeszliśmy około 150 kilometrów nie mając ani na chwilę asfaltu pod stopami i jedynym naziemnym środkiem transportu jaki widzieliśmy były jaki.
- NAMASTE! - to nepalskie "dzień dobry", jedyne słowo, które łatwo było zapamiętać.
- W górskich wioskach słowo "shower" zmienia swoje znaczenie, a i tak wiadro z wrzątkiem i kubek do polewania może być dużym rarytasem.
- W Moskwie na lotnisku oglądamy towary najlepszych światowych marek - to jakby przeniesienie do innego świata, ale czy lepszego?
- W Kathmandu na lotnisku patrzyliśmy jak całe rodziny płaczą żegnając osoby które odlatują - czy lecą do tego lepszego świata jak mój znajomy z samolotu?
- W Nepalu pod brudem, potem i kurzem kryje się wielkie serce małych ludzi - i jakoś łatwiej to dostrzec.
- Nie udało mi się kupić śnieżnego tygrysa i różowej foczki dla dzieci, i yeti też nikt jeszcze nie widział.
- W Nepalu jest kurz i brud, stare poniszczone sprzęty, ale obok tego są piękne sari w całej gamie kolorów, świecidełka i ozdoby, biżuteria, jedwabie i kaszmiry,... - to dla równowagi.
- "The faces of Nepal" - w oczach dzieci można czytać tutejsze życie.
- Podczas lotu do Moskwy chmurki pod samolotem wyglądają jak kołderka, albo jak śmietanka na mleku. Zastanawiam się czy dałoby się je pozbiierać tak by na dole zaświeciło słońce.
- W górach nieraz o 18.00 można było kłaść się spać. Czasem trzeba też było zerwać się w środku nocy by znów iść pod górę.
- W górach potrzebowaliśmy niewiele rzeczy, zostawały za nami kolejne depozyty, ale wciąż brakowało zasięgu naszych telefonów.
- Aż pięć razy przekraczałam granicę pięciu tysięcy metrów, w tym - jeden sześciotysięcznik.

- I będę wchodzić jeszcze wyżej.